



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 3 sgr. 20.

## Sara Robinson, Agnieszka Weston.

Cnoty rodzinne są to podwaliny, na których buduje się gmach dobrego, pomyślnie rozwijającego się społeczeństwa, i naród opiera się niewątpliwie na rodzinie, która drugostronnie jest dla pojedynczych jednostek „stowarzyszeniem do szczęścia”. Przecież dla doskonałego istnienia każdego narodu potrzeba jest pewnej summy tych cnót wysokich i idealnych, którym daje się miano zaparcia się siebie, poświęcenia dla drugich, a które, jak promienie słońca bijące z góry, podnoszą moralną temperaturę serc ludzkich i jako czynniki zapалу wchodzą w zakres cnót heroicznych. Im gdzie cnót takich więcej, tem społeczeństwo żyje życiem wyższem, doskonalszem i można powiedzieć o niem, że kwitnie, bo żywotne jego soki idą w górę i strzelają koronami róż, liliowemi kielichami duchowego piękna. Anglia jest szczęśliwym krajem kobiet szlachetnych. Obok cnót rodzinnych, obok ucziwych, czystych ognisk domowych, które kobiety angielskie wytworzyć umiały, stać je niemniej na cnoty poświęcenia i zasługi obywatelskiej, jednajęcej im szacunek i wdzięczność narodu, który w nich czci bohaterki swoje. Florency Nightingale ma za życia wzniesiony sobie pomnik wśród murów Londynu; i teraz oto zasługa dwóch innych kobiet czyni je głośnie mi wśród angielskiej ich ojczyzny i sprowadza im podziękowanie publiczne za czyny obywatelskiej cnoty. Florency Nightingale, młoda panna zamężnego rodu, stanęła na polu krwawych walk Wojny Krymskiej, jako siostra miłośnierdzia, jako anioł poświęcenia i wedle uznania aktów urzędowych ocalała armia angielską, nietylko przez naj-

wyższą ofiarę osoby własnej, ale przez sprężyste i rozumne urządzenie służby zdrowia, wśród grasującej okrutnie cholery: ratowała od zagłady, od śmierci bolesnej, żołnierzy walczących za sztandar Anglii; ale istnieją inne jeszcze zgony, niż ten, który ciało w grób składać każe: są rany moralne, które denerwują i ostrygają włosy Samsonów, i w tym oto kierunku dwie miłosierne siostry dusz i serc angielskiego ludu, zaznaczyły się obecnie jako dobrze zasłużone sprawie ojczyznej.

Sara Robinson, rodem z Północnej Anglii, urodziła się i wychowała na wsi, wśród rodziny yeomenów, to jest właścicieli mniejszej posiadłości ziemskiej, co odpowiada naszej drobnej szlachcie, której podobnych praw i przywilejów wśród społeczeństwa swego używa. Jest też to z pochodzenia bardzo stara szlachta angielska, którą podbój Normanów i okrutne losy wojny zepchnęły na stanowisko podrzędniejsze, lecz wśród której utrzymały się wszystkie stare cnoty rodów rycerskich. Dziewczynka, z krwi tej urodzona, odziedziczyła je niejako po przodkach swoich z czasów Edwarda Wyznawcy. Coś wojowniczego, coś meżko-śmiałego i dumnego, odzywało się w niej od dziecka; lubiła się bawić jak chłopiec, darła się do konia, pożądliwie patrzyła na strzelbę; a że przytem kochała się w starych balladach rycerskich, w które literatura angielska jest tak bogatą; zapragnęła więc łuku i kołczana, które też zdobyła sobie, fabrykując je sama i ćwicząc się w tej starożytnej sztuce strzelania, doszła w niej do doskonałości. Trzynasto-czternasto-letnia dziewczynka lubiła jeszcze wybiegać z tym przyborem Dyany na wrzosowiska okoliczne i strzelać do dzikiego ptactwa, które się tam gnieździ obficie. Angielskie pisma przytaczają wiele wesołych anegdot z tych lat dziewczęcych Sary Robinson, która drugostronnie zapalała się gorąco do czynów meżtwa i sławy wojennej, miała głęboką cześć dla bohaterów i wojowników, wielbiła też namiętnie ostatniego z nich: Napoleona I, co

ze względu na to, że była Angielką, że karmiła sobie serce wojowniczymi wspomnieniami dziejów ojczyznych, więc musiała być gorącą patriotką, zasługuje na uwagę. Kochała rycerskość jako szlachetny stan duszy ludzkiej i czciła ją w każdym, we wrogu nawet, a przytem legenda napoleońska kończyła się okrutnem strąceniem w dół wielkiego wojownika, okrutnem znęcaniem się nad upadłym losu i ludzi: szlachetne więc serce dziewczęcia spotęgowało uczucia uwielbienia i sympatyj przez żal nad nieszczęśliwym, co także znamionuje szlachetnie podniosłego ducha.

Jakby się było rozwijało to życie, gdyby nie stanęła mu była wpoprzek drogi okrutna choroba, kalectwo niemal, a w każdym razie zapowiedź kalectwa, zawieszona nad niem groźbą straszną? Sara, rosnąca bardzo szybko, zaczęła w piętnastym roku życia cierpieć na krzyż i zawieziona do Londynu, dla doskonalszej kuracyi, wróciła przecież wkrótce do domu z wydanym na nią wyrokiem przerażającym, że jest—niewyleczalną!

Zostawiono jej, przy pilnem używaniu środków wzmacniających, rok, najwyżej dwa lata, szczęśliwego życia istoty, która może żyć jak inni, ruszać się, rządzić sobą; na resztę istnienia przepowiedziano jej ciężkie wegetowanie inwalidki, przykutej do łóżka.

Przyjęła ten wyrok z niespodziewanym u niej spokojem. Już i poprzednio, w miarę jak wznosiła, stawała się wobec ludzi obcych bardzo cicha, nawet nieśmiała, a przynajmniej poważna, trzymającą się na uboczu—*reservée*, jak powiedziałby Francuz—zapalając się wtedy tylko, gdy dotkniętym został przedmiot jej umiłowań serdecznych. Karcona niegdyś surowo za uniesienia swe namiętne, może starała się zapanować nad niemi, starała się trzymać wyraz uczuć swoich na wodzy, i ta siła ducha, tak bardzo potrzebna w życiu, przyszła jej teraz z pomocą w godzinie próby okrutnej, nie dając poznać otaczającym, co się działo w jej sercu biednem. Przytem umysł to był

poważny: zrozumiała, że są wyroki losu, którym poddać się trzeba, mur nie daje się przebić głową. Gdyby była małą, dziesięcioletnią dziewczynką, zabiłaby pięciu strzałami, z łuku wypuszczonymi, lalkę, która przedstawiała „a traitor“—zdrajcę; ale nieszczęścia, zachodzącego nam drogę życia, zabić nie można strzałem żadnym i przyjąć je trzeba na towarzysza wszystkich dni i nocy, wszystkich godzin naszych. Zdawało się tylko, że młoda dziewczyna pragnie użyć krótko odmierzzonego jej czasu w sposób najpełniejszy i zaczęła zajmować się uczeniem dzieci w szkółce niedzielnej i odwiedzaniem, wspomaganiem biednych i chorych w parafii. Jakiś przyrzadecznik, który nie dopuszczał, aby ciało całą wagą swoją ciężło na kości pacierzowej: „a steel apparatus taking the weight of body from the spine“, przyniósł jej też niespodziewaną już ulgę i złagodził straszną przepowiednię, gdy tymczasem rodzice jej przenieśli się w inną okolicę, do Guilford, gdzie nagle spotkała się z powołaniem swoim. Doroczne obozowanie części wojska angielskiego w pobliżu, w Aldershot, sprowadziło tam pobożne pannie, zajmujące się moralnymi missyami wśród żołnierzy; zetknięcie się ich z Sarą, konferencje pobożne, które miewały, uderzyły w drżącą dotąd strunę jej serca. Dawne sympatyje dla wojowników, których pierś jest przedmurzem ojczyzny, odżyły teraz nagle w formie nowej. Usłyszała: ile-to pokus, ile niebezpieczeństw moralnych grozi żołnierzowi, który nie ma obok siebie rodziny, nie ma domowego ogniska z jego słodkim i obraniającym wpływem, a którego czas jest wśród dni pokoju tak mało zajęty, że nuda i samotność mogą mu się stać złymi życia doradcami. Sara uczuła w sercu wielką litość i zarazem wielki żal, że społeczeństwo pod najważniejszym względem tak mało dba o obrońców swoich, i całą działalność zwróciła teraz w tym kierunku. Wielu żołnierzy bywa żonatych i wielu żołnierzy ma dzieci: te rodziny bez stałego domowego ogniska przedstawiały jej się w koczowniczym życiu swoim godnymi litości, godnymi opieki; od nich więc rozpoczęła owo dzieło dobroczynne, za które obecnie kraj wdzięczność jej składa. Było to w 1863 r.; Aldershot pokryło się w całej długości swojej rzędami białych namiotów. Ona tam znajduje się wkrótce, ale teraz jeszcze dąży głównie do różnych małych domków i gospód podmiejskich, gdzie puka w imię miłości Boga i bliźniego. Z początku trochę jej się tu dziwią, trochę się gniewają; ale są młode kobiety, którym słowa jej o porzuconym domu wzruszają serca, i te przyjmują chętnie jej rady co do wychowywania dzieci, rady co do możliwego układu własnego ich życia. Sara nierzadko dodaje do tego jakąś pomoc drobną: to lekarstwo, to drobną książkę do przeczytania, dowiadując się przytem ciągle: gdzie jej obecność jest najpotrzebniejszą? Raz jej powiedziano o żonie młodego rekruta, która przyszła tu za mężem i zachorowała. Sara śpieszy jej szukać, ale szukać musi po jaskiniach przedmieściowych gospód i błazni; zachodzi przypadkiem do jakiegoś zruinowanego domu, gdzie wśród wielkiej, ciemnej, długiej izby znajduje tłum najędźniej-szych: pijaków, rzeźmieszków, dezertarów, kryjących się przed władzą, którzy też nie chcą jej wypuścić, skoro tu raz weszła. Ogromny, rudowłosy chłop z twarzą opilca zatarasował jej drzwi osobą swoją, a dzikie, szyszające, wesoło urągające jej głosy odzywają się zewsząd. Co się może z nią stać i co należy jej począć? pyta się siebie przestraszona; ale dawna odwaga, dawna dzielność mężna, żyje dotąd w jej piersi. Sara, wysoka, szczupła postać, z bladą twarzą o wyrosłych, ale szlachetnych rysach, z dużymi, pięknymi oczyma, patrzy na otaczający ją tłum spokojnie i powiada, że przyszła im zaśpiewać to, czego nie słyszeli już dawno, a gdy pewne zadziwienie sprowadziło jakiś moment uciszenia, zaczyna wdzięcznym, skłódkim głosem śpiewać stary i znany w całej Anglii hymn kościelny, śpiewany również w rodzinach w dni świąt uroczystych: „Czy chcesz iść do rajsu, tam w górze?“. Z początku głos jej był wzruszony i nieco drżący, ale zwolna ogarnia ją szlachetny zapal, wié, że pieśń ma przemawiać do serc ludzi twardych, ludzi zgubionych, którym ona przynosi jakgdyby

wzwanie Boże, i śpiew coraz wzmaga się w siłę, potęguje, rośnie, brzmi czysto, wyraźnie. Wzruszenie ogarnia słuchaczy; oczy jednych zapełniają się łzami, wzrok drugich spuszcza się ku ziemi, i gdy skończyła, drzwi same otworzyły się przed nią.

Byli tacy, którzy całowali jej rękę, gdy wychodziła, a jeden biedny dezertar szepnął jej na progu, że wolałby zabić się, niż tu zostać. „Nie zabijaj się, bo to grzech przed Bogiem, który jest jedynym Panem życia i śmierci, ale wróć i pełnij twój obowiązek“—odpowiedziała mu, a młodzieńiec usłuchał rady. Aby nie spotkał się z karą ciężką, wstała się za nim do pułkownika, i od tej chwili datuje się jej umoralniające działanie na żołnierzy.

Zasób gorącego uczucia, zasób zapalu, który sama posiadała, sprawił, że zwracała się głównie do tych stron duszy ludzkiej — uderzała na serce i jego wzruszenia szlachetne. Przedmioty jej odczytów miewanych w obozie odpowiednio były dobierane. „Miłość ojczyzny“, „Dzielny mąż“—to były temata moralne, które rozwijała, wykazując, że miłość rodzinnego kraju to cnota nasza, to nasza godność duchowa, dająca przez nas ojczyźnie jednego zacnego obywatela więcej. A dzielność mężka?... to nietylko śmiało rzucenie się na wroga, śmiało nadstawienie piersi na kule nieprzyjacielskie. Mąż dzielnego ducha nie ulega zradnym pokusom do złego: walczy z nimi i zwycięża je, aby całą istotę swoją, silną, zdrową na ciele i duszy, oddać obowiązkowi, przyjętemu na siebie. Był to dla ludzi prostych nowy sposób traktowania kwestyi i oddziaływał też silnie; stan moralności podnosił się; officerowie wkrótce zwrócili na to uwagę i w trzy lata od chwili, gdy Sara rozpoczęła pracę swoją wśród obozu, usługi jej dla kraju zostały urzędownie uznane. Odczyty jej były ogłaszane w pułkowych rozkazach dziennych, a nazwisko jej oznajmione Parlamentowi, zostało zapisane w Księdze Niebieskiej, w dziale sprawozdawczym co do edukacji wojskowej. Z funduszków rządowych wyznaczono też sumę pewną na wydawnictwo jej odczytów, które znalazły odtąd miejsce na półkach bibliotek pułkowych.

(Dokończenie nastąpi)

## STROFA PROZA

przez

W. Z. Kościółkowską.

(Dalszy ciąg).

— Myślałem właśnie o tem — rzekł wzruszony — czem-by było życie moje bez ciebie, pieszczotko moja, dobra i jasna wróżko moja. Dzieciństwo ponure, chorowite, młodość samotna z temi tylko przeblysłkami, które daje praca umysłowa domu: wszystko to, jak sen długiej gorączkowej nocy pierzchno ze zjawieniem się twem na tym oto progu. Czasem zmora wraca jeszcze... wówczas, gdyś daleko... gdyż te dzielące nas wiorst kilka, które w jakąbądź pogodę na rączym przebiegasz koniu, wydają mi się przestrzenią niezmierną. Gdy wracasz, tak jak dzisiaj, wraca z tobą życie, energia, światło, ciepło... Myślałem o tem i liczyłem lata, odkąd zstępujesz ku mnie jak anioł snów dobrych, na słońca promieniu.

Oczy jej łąz zachodziły, zaśmiała się jednak wesoło.

On rękę jej do ust przycisnął.

Milczeli długo, oboje zapatrzeni w dal słoneczną, pogodną. Z piersi chorego ciężkie wydobyło się westchnienie.

— Może to już ostatni w tym roku dzień taki pogodny, ciepły. U nas lato takie krótkie, jesień i zima tak wieczyste długie.

— Tak, jutro, pojutrze słońce zaprzepaści się poza chmurami; jaskółki na skrzydłach uniosą

ostatnie ciepłe powiewy; szare mgły, długimi jak tęsknota korowody snuć się będą po polach i wieszać na odartych z liści gałęziach drzew; wiatry naprzemian z deszczem jęczeć zacząją i szlochać; drzewi te, przez które na świat boży spogładasz, zamkną się szczelnie, na szybach mroź dzierzgać pocznie lodowe koronki, a na balkonach śnieżne wzniesie okopy.

— Co to jest być pejzażystką! Nie wiedziałem, że można tyle efektów wyciągnąć z martwego zimowego krajobrazu.

— Są to krajobrazy czarodziejskie, ze swemi śnieżnymi puchami i lodowymi kryształami, lekkoimi jak widma skieletami drzew i jednobarwnem, z pogaszonymi światłami niebem. Lubiałabym zimą, a nawet i rozszlochaną jesień, gdybym ku nim nienawiści nie żywiła ze względu na ciebie. Zamierasz z jesienią, drętwiejesz, w pokoju tym, jak w pudełku zamknięty, bez powietrza, słońca, ciepła. Nie, nie rozumiem, doprawdy: dla czego, odpowiedniejszego dla zdrowia twego, pogodniejszego i łaskawszego nie szukasz nieba?

— Szukałem... napróżno! Robiłem, co mogłem, i więcej niż mogłem... Nie nie pomogło!... na to rady nie ma!

— Ale... w łagodniejszym klimacie mógłbyś przyjemniejsze wieść życie, niż tu, gdzie przez trzy czwarte roku zasklepiac się musisz.

— Przyjemność jest rzeczą nader względną, a pogodę stałą i do utrzymania nas przy życiu niezbędną ilość ciepła znajdujemy, nie pod taką lub owaką geograficzną szerokością, lecz od wszelkich szerokości i długości niezależnie, w samych sobie i około siebie: w wewnętrznej pogodzie zadowolenia i w niciach sympatyj wiążących nas z tem, co nas otacza. Otóż tej pogody, tego ciepła, jeśli komu, to już mnie, najpewniej nie dadzą obce kąty, obce nieba.

— Dlaczegoż? Kochasz przecież piękno, sztukę, naukę, myśl szeroką i szerokie horyzonty, po których przebiegają wolnych też technię powiewy...

— Ale przede wszystkim kocham swoje niebo, swoich ludzi. Zresztą—ciągnął ze smutnym uśmiechem — najstrasniejszą pod słońcem rzeczą jest: czuć się zupełnie już nieużytecznym. Prawda? Ale co ty o tem wiedzieć możesz! Wszystko względne jest, a już do—mnie to zwykłej miary w niczem stosować nie można. Chcąc mierzyć potrzeby moje i sposoby ich zadowolenia, trzeba wyłączną skroić miarę: krótszą i ciasniejszą. Aby uczynić sobie możebnem to moje, ze wszelkich stron utrudnione, ograniczone życie, musiałem stworzyć sobie odpowiednią, o! bardzo szczupłą i poziomą, sferę działalności, czyli raczej czegoś, co mi działalności i użyteczności chwilowe przynosi złudzenie. Czytałem gdzieś, że „kto nie jest łowcem, staje się zwierzyną cieniów“. Kto wie, czy nie jestem czasem jednocześnie i jednym i drugim. Bądźco bądź złudzenie to żyć mi dopomaga. Tu dla łowców moich odpowiednie pole. — Uśmiechnął się, rękę wyciągnął w stronę lasu. — W żyłach naszych—ciągnął—łowiecka krew płynie. Słyszysz te trąbki myśliwskie, ten gon? To Adryan tak zawzięcie tam poluje.

Istotnie: gon zbliżył się i echo przynosiło różne granie myśliwskiej trąbki.

— Nie jest-że on też łowcem cieniów? — w zamysleniu opuszczając na poduszki głowę, szepnął chory.

Gon oddalał się. Trąbka ozwała się dalej, potem jeszcze dalej—umilkła.

— Co-bym ja robił tam na szerokim świecie! — ozwał się chory, snując myśl odgłosem tej przerwanej.

— Tu, jeśli nie czem innym, to radą służyć czasem mogę; progów swych zresztą pilnuję — a także potrosze—dodał, śmiejąc się wesoło — interesów Adryana. Tyle mając wolnego czasu do rozmysłań, mogę przecie myśleć czasem za tego poczciwego, lecz lekko...nogiego łowcę cieniów i chimery przeróżnych. Widzisz tedy: pomimo niemocy mojej, jestem czemś w rodzaju prawnego doradcy i nienazbyt poważnego mentora, kassjera i intendenta naszego herkulesowego bratanka. Co? śmiejesz się? Upewniam cię jednak, że mi troska o tego marnotrawnego syna w znacznej mierze zapełnia życie. Gdysmy dziećmi byli, Adryan w silnych dźwigał mię ramionach i silnymi zaślania

barki; w zabawach naszych ja byłem zawsze wodzem, sztabem, on żołnierzem, armią. Ja-bym mi nieba chciał przychylić. Nie jestem tedy zupełnie nieużytecznym tu -- gdy przeciwnie tam... tam -- dodał po chwili z uśmiechem, od skargi smutniejszym -- tam na szerokich i poplątanych drogach życia, kędy, nie cienie, ale ludzie z krwi i kości, z muskułów i rzutów woli, odpowiednich porywom myśli, ducha i namiętności, mrówią się, biegną, spieszą do wielkich celów, do rozkoszy, chociażby do zawodów i boleści wielkich -- w rozgromie boju istnienia, czują się klingą złamaną, rozbitym pan-cerzem, kamieniem, o który przechodnia potrąca noga.

Ona znów przeciągnęła dłoń po ciemnych, przedwczesną siwizną przyprószonych włosach chorego. Oczy jej we łzach się mgliły i gdyby chciała, nie mogłaby w chwili tej wyrzec słowa: tak głęboko była wzruszona. On wziął rękę jej w obie swe dłonie.

— Czy sądzisz zresztą — spytał powłóczyłem spojrzeniem, tonąc w jej łzami mgłących się oczach — że za jedną godzinę rozmowy z tobą, lub wspólnego czytania nie oddałbym wszystkich rozkoszy Kapui?

Zaśmiała się z przymuszoną wesołością.

— Wierzę, o duchu jasny! że wzgardziłbyś poziomem Kapui rozkoszami — ale — gdyby choć taka malusia, a ot taka ciężka, dyssertacya z najnudniejszym, najbardziej zatabaczonym z twych niemieckich uczonych? Jakże-bys prędko w niepamięci pogrzebał swą nie uczoną, co chwila czytanie przerywającą i objaśnień domagającą się lektorke! Zgadłam! Tymczasem, ponieważ nie mamy tu uczonych professorów, lecz tylko grube książki...

Mówiąc to, wyjęła z biblioteki tom z rozcięte mi do połowy kartami. Po chwili wstawiła go napowrót do szafy.

— Nie, nie to. Znużony dziś jesteś. Coś lżejszego a interesującego.... A! *Sejm Czteroletni*.

Powstrzymała ją ruchem ręki.

— Smutne to, jak pogrzebowe dzwony. Wolałbym z tobą....

— Wolisz wzbić się:

„Ponad to wszystko, co początek bierze  
W ciężkiej i dusznej życia atmosferze!“

— Tak — rzekł z nikłym uśmiechem:

„Ponad to wszystko, co się ęmi i wichrzy,  
W prochu tej ziemi, jak owad najlichszy!“

— Zmęczony jestem; chcę odpocząć.

Istotnie, na bladej twarzy jego widać było znużenie, głowa chyliła się na poduszki fotelu.

Popatrzała na niego uważnie, wzięła ze stołu książkę zużytą i, siadając nieopodal, półgłosem zaczęła czytać.

— Zbliży się.

Przysunęła niski taburet do jego fotelu. Czytała, głos ciągle niżając. Perlistych słów kaskada przechodziła w szmer cichej kołysanki, rytmicznej, śpiewnej. I w domu i w ogrodzie najwięk-sza panowała cisza. Jaskółki nawet przestały się spierać i gdzieś odleciały. Dźwięczny szmer głosu czytającej zdawał się kołysać chorego, który głosu tego słuchał, a nie słów, leżąc w fotelu nieruchomie, z przymkniętymi powiekami: nie spał jednak, ani nawet nie drzemał; z roztagarnieniem, nerwową ręką, bawił się, to szerścią leżącego przy nim Poklusa, to rozsypanemi na poduszkach fotelu różami.

Słońce świeciło jasno. Z ram portretu przelotną iskrą życia ożywione szafirowe oczy śledziły ciągle młodą tę i tak zgodną, a jednak niedobrą parę.

Ona czytała, a po jej twarzy przemykały wrażenia odczuwane; zdradzały się w głosie, który się niżał lub podnosił, w miarę, jak ją czytanie pochłaniać zaczęło.

Czytała: — „Wszczęświat toczy się wieczyście w temsamem kole“, „życie człowieka podróżą pątnika, punktem nikłym“, „przeznaczenie zagadką ciemną“, „duch huraganem“, „zapomnienie: oto wszystko co nas czeka po śmierci“, „wszystko

zresztą jest znikomością: i ten, który pamięta i to, o czym pamięta“.

Książka z rąk się jej wysunęła. Zamysliła się głęboko — głęboko. Po długim dopiero czasie wyrwało ją z zadumy lekkie, do musnięcia skrzydła podobne, przesunięcie się ręki po jej włosach. Podniosła głowę: chorego pochylony ku niej, wzrokiem raczej niż słowy pytał o myśli, które ją w tak długą i głęboką pogrążyły zadumę.

— Myślałam — rzekła, rumieniąc się zlekka — czy szczęście jest możebnem na świecie i czy wówczas nawet, gdy się czujemy szczęśliwymi lub szczęścia blizkimi, nie jest to złudzeniem zmysłów lub wyobraźni? Oto i ten pogodny mędrzec rzymski w szczęście nie wierzy wcale, ani go obiecuje. Zawsze i wszędzie to samo: żyć nie warto! Mówią, że to jest krzykiem naszego wykołajonego i w pocie czoła, wśród strat nieprzeliczonych, wśród krwawych omyłek, dróg nowych szukającego stulecia — krzykiem społeczności przeżytej i która z placu boju ustąpić musi a nie chce. Ależ to się powtarza z wieku na wiek! Schodzące stulecia krzykiem tem budzą następujące po sobie: filozofia, poezya, historia cała, właściwie mówiąc, jest jednym przeciągłym jękiem boleści. Na jednego pogodnego Platona, iluż mamy Hartmannów! Tragedya grecka podaje dłoń nowożytnemu liryzmowi. Na krzyk Eschylosa: „Najrozsądniejszą jest rzeczą nie rodzić się wcale!“ — Leopardi odpowiada: „Wszystko mija oprócz boleści!“ Jak świat stara „Nirwana“ zdaje się być drogowskazem ludzkości.

— Jakże można „Nirwanę“, nie-byt, nazywać drogowskazem! Jest ona błędnem kołem, w którym zrozpaczeni zamknęli by może ludzkość, gdyby na ich Jeremiaszowe „nie-być“ elementarne jej, nie-przeparate instynkta nie odpowiadały stanowczo „być“.

— Więc filozofia, zamiast mistrzynią, byłaby uwodzicielką?

— Bywa nią istotnie często, a zwłaszcza wówczas, gdy nad pokoleniem, które się strudziło już rozwiązywaniem wielkich a praktycznych i pozytywnych, niecierpliwie zastosowania w życiu domagających się zagadnień bytu, zawodzi swoje złowieszcze biadania. Szczęściem, niewielu biadań tych słucha, niewielu je rozumie. Dla szarej rzeszy, dla gminu, jeśli chcesz, a i dla jego genialnych, lecz praktycznych przywódców, życie jest, bo jest, i nad ułatwieniem, nad upiększeniem jego pracować trzeba wytrwale, z energią wzmagającą się, z pokolenia w pokolenie rosnącą bez przerwy, i w miarę zdobywania odpowiednich do tego narzędzi. Wobec pewnika tego wszelkie zagłębianie się w kwestyę: — „Być albo nie być“ płonne są — conajmniej.

— Krwawa owa praca pokoleń czyż się opłaci?

— Wielkie zdobycze nie dokonywają się z dnia na dzień. Doskonalenie się jest stanem ciągłym ludzkości, jej bytu racya. Boleść jest i pozostanie antytezą rozkoszy, lecz nie wypełnia czary istnienia po brzegi. Nienormalne tylko warunki, wśród których znajdują się jednostki i pokolenia całe, mącąc same źródła życia, osad wydobywają na wierzch i czarę całą popiołem zaprawiają. Ale i w tem piołunowem istnieniu są słodycze, a w żalobnych pasmach zdarzają się błyski, które odsłaniają całą życia wartość.

Może się mylę — ciągnął — lecz te rozdzierające krzyki rozpacz, to biadanie nad ludzkością, nic nie ma wspólnego z filozofią. Pessimizm wymyślili poeci. To pewno jednak, że jeśli pesymiści nie są mistrzami ludzkości, to są niewątpliwie jej namiętnymi kochankami, odczuwającymi każdą jej boleść stokroć silniej, niż ją sama ludzkość odczuć zdoła. W tem spoczywa może cała siła i nieprzeparaty urok, jaki wywierają tragicy i lirycy.

— Lecz powiedz, z kąd-że to, że ci namiętni kochankowie ludzkości, nie jej piękności i wabne uśmiechy, ale same czarne tylko widzą strony?

— Może dlatego, że serce, które cierpiało, skłonne jest do uważania siebie za oś, na której wszechświat się toczy: zapomina, że jest to koło z niezliczonemi, stubarwnemi promieniami. I cóż ztąd, że jedno, chociażby całe, istnienie pod czarny do-stanie się promień i z tem światłem ponurym toczy się już do końca? Kwestya przypadku!

— Straszno! A gdy niejedno istnienie, lecz istnień tysiące pod ów czarny wpadnie promień i, nierozzerwalnie z nim złączone, potoczy się, nie już do końca, ale w nieskończoność?

— Kwestya przypadku! — lecz wyznaję: kwestya mogąca w błąd wprowadzić myśl sprawiedliwości łaknącą i o szal przyprawić namiętnie kochające serce; tem niemniej kwestya, nie zakłócająca ogólnej wszechświatów harmonii.

Ozywiał się, z oczu mu zaświatowe strzelały promienie, — duchem był tylko.

Ale ona duchem nie była, więc oburzeniem wybuchła:

— Co mi tam wszechświatów pogoda, wobec jednej łzy, której otrzeć nie mogę, jednej krwi kropli, której zatamować siły nie mam! Co mi tam wszechświatów harmonia, w obec jednego pragnienia istoty ukochanej, którego zadowolnić nie zdołam; wobec własnej mojej boleści, natchmiastowej, dzisiejszej, piękającej! Słońce świecące pogodnie nad otwartym grobem, nad krwawiącą się raną ziemi, nie pociesza mię bynajmniej i nie rozgrzewa, gdy krzepnę w bólu.

— Pociesza — wówczas nawet, gdy na nie zamykasz oczy; rozgrzewa, wówczas nawet, gdy od niego uciekasz. Niezmienne to przyrody prawo.

— W samej niewzruszoności prawa tego jest bezden rozpacz.

— Lub rezygnacyi.

— Tylko mi, proszę, o rezygnacyi nie mów. Słowa tego rozumieć nie mogę i nie chcę. Rezygnacya: to ostateczna niemocy apatya. Póki iskry sił i życia, póty bunt przeciwko rzeczywistości ustać nie może.

— I cóż z buntu?

— Co? zbuntowani-to ludzkość z więzów rozkuwają.

— Jeżeli są Prometeuszami. Lecz czyż każdy z cierpiących posiada prometeuszową twórczość i tytaniczne ramię zdolne dźwigać tarany, co strop nieba przebijają?

— Słabi zatem skazani są na zagładę, na rozsypanie się jak prochu marne ziarna?

— Prochu ziarna! Dobrześ powiedziała, — lecz ani marne, ani na rozsypanie się skazane! Patrz, w co wrosły, z czego od lat tylu soki ciągną korzenie tego, kilku wiekowego dębu, co nad innemi górując, ku słońcu potężne wyciąga konary? I na czem się opierają fundamenta ciężkiego tego domu? Na marnych prochu ziarnkach zwartych w opokę stałego gruntu. Taką jest ludzkość!

— O! tyś duch jasny i pogodnie zapatrujesz się na wszystko, nawet na przeznaczenie marnego ziarnka prochu! Jam niezdolna wzbić się na takie wyżyny.

(Dokończenie nastąpi)

## ECHA Z CZECH.

Nowe wybory do Sejmu Czeskiego. — Dawniej i teraz. — *Drugi* niemiecki teatr. — Otwarcie Narodowego Teatru. — Zabawy dla dzieci. — Z doby jubileuszowej. — Zofia Podlipska. — Franciszek Szpatny. — Dwadzieścia lat trwania „Umieklej Besedy“ w Pradze. — Z literatury. — Vrchlicky: *Sfinx*. — Powieści Szmilowskiego. — *Zyciorys Hawliczka*. — Przekłady z polskiego języka. — Nowe czasopismo czeskie dla kobiet.

W chwili, kiedy to piszę, dostarczają Czechy najpowszechniejszego przedmiotu do rozmów, rozprawy artykułów dziennikarskich w całej Austrii. Imię ich idzie od ust do ust i niema dziennika niemieckiego, zwłaszcza wiedeńskiego, któryby o nich „z grozą“ i obszernie nie pisał. Wszystko to zawinił naturalny rezultat ostatnich wyborów, który zapewnia Czechom większość w sejmie krajowym. Jest to fakt nader wielkiej ważności i dzielimy się nim z łaskawymi czytelnikami z prawdziwą radością — jak wszystkim zresztą, co za dowód ciągle wzmagającego się życia w Czechach posłużyć może. Rozstrzygająca większość głosów czeskich w sejmie prazkim jest nareszcie rekojmnią, że sprawy tak zbliżka kraj cały obcho-dzące odtąd będą z należytą sprawiedliwością traktowane.

A wielka to różnica: sejm prazki *wczoraj* i sejm prazki *dziś*. Inne powietrze i inny duch wieje dziś tam, gdzie jeszcze wczoraj odgrywało się dla Czechów tyle scen ponurych. Nadeszła więc nareszcie chwila, gdy wszystkie projekta prawodawcze powstające w zakresie działalności sejmowej odpowiednio będą traktowane, bez ujemy jakiegokolwiek. Na krześle marszałka krajowego, na którym jeszcze wczoraj siedział człowiek niezłomny wszelkim dążeniom czeskiego odrodzenia, siedzi dziś mąż prawego charakteru, książe Lobkowicz, członek starej arystokratycznej rodziny czeskiej. Z jego ust nie zabrzmi już persiflaż języka czeskiego, co przedtem prawie podczas każdego posiedzenia tak przykre musiało sprawiać wrażenie, gdyż poprzedni marszałek Auersperg naszego języka ojczystego wcale nie posiadał i, jeżeli słowo jakie poczesku zmuszonym był wypowiedzieć, to tylko śmiech czeszczyna swoją wywoływał.

Pod innym również względem przedstawia się czeska sala sejmowa teraz w świetle daleko jaśniejszym. Miło popatrzeć na osiwniałe głowy posłów czeskich, którzy po tyloletniej walce mogą się w tych miejscach nareszcie czuć u siebie. Widzimy tam przewodnika politycznego dr. Rigiera, dotąd pełnego energii i siły. Oko jego jasne, czoło czyste, cała powierzchowność tchnie spokojem. Widzimy jeszcze cały szereg innych starych, dobrze znanych i dobrze o sprawy kraju zasłużonych mężów. Pomiedzy nimi muszą i Polakom być niektórymi *bezpośrednio* postaciami bardzo sympatycznymi. Tu siedzi czcigodny proboszcz Wyszehradzki, stary Waclaw Sztulc, pierwszy tłumacz Mickiewicza w Czechach, a niedaleko niego Emmanuel Tonner, niemniej gorliwy i wytrwały przyjaciel Polaków.

Dotychczasowe posiedzenia sejmowe czeskiego w nowym składzie niewiele jeszcze przedstawiają zajęcia; ale niema wątpliwości, że wkrótce się tam będą rozstrzygać sprawy, które z niejednego względu ściągają na siebie uwagę. Właśnie przyjdzie na dzienny porządek petycja Niemców, którzy teraz, gdy czeski teatr narodowy jest blizkim ukończenia, chcą *od kraju* 500,000 guldenów na zbudowanie *drugiego niemieckiego* teatru w Pradze. Co na to odpowie większość czeska czeskiego sejmowi? nie chcemy w tej chwili wypowiedzieć, zadziwiłoby jednak zapewne cały świat, gdyby się dowiedziało, że Niemcy w Pradze budują sobie dla zabawki drugi kosztowny teatr niemiecki, podczas gdy Czesi jeszcze przed chwilą zmuszeni byli wdowim groszem budować sobie teatr *jedyny*. A przecież nie można też zapominać, że Niemców wraz z *żydami* jest w Pradze tylko 40,000, podczas gdy Czechów jest 208,000! Jeżeli więc Czechom wystarczy teatr narodowy, to zapewne małym procentowi Niemców także wystarczy jeden dawniejszy teatr, który, nawiasem mówiąc, zupełnie odpowiada swemu celowi i w którym nierzadko bywają — *puszki*.

A więc można oczekiwać, że rozprawy sejmowe w sprawie potrzeby *drugiego niemieckiego* teatru w Pradze będą dosyć — ciekawe.

Nadchodzący termin otwarcia teatru narodowego, odbudowanego po pożarze i wyrosłego słicznie, jak Fenix z popiołów, każe mi choć słów kilka ponownie sprawie tej poświęcić. Otóż otwarcie nastąpić ma 28 Września. W programmacie uroczystości ta nastąpiła zmiana, że *żadnych* zewnętrznych obchodów *nie będzie*. Dotychczasowy programat zapewnia tylko uroczyste przedstawienie w samym teatrze i wielki bankiet. Ten skromny zakres uroczystości, usprawiedliwia się stosunkowo spóźnioną już porą jesienną, która, jak wiadomo, nie sprzyja ludowym uroczystościom „pod niebem“ — oraz względami oszczędności. Koszt uroczystości pierwotnie zamierzonej (pochody, ognie sztuczne, i t. d.) — wyniosłby przynajmniej 20,000 guldenów. Wszelako sam moment otwarcia teatru nic nie straci ze swej uroczystości i doniosłości przez ekonomiczniesze urządzenie obchodu. Cel główny, ażeby w pysznej świątyni muz dramatycznych rozpoczęła się nareszcie działalność, będzie dopiętym: a ten właśnie tylko cel kierował na siebie wszystkie dążenia i zasoby, i mogę powiedzieć, że ofiarność ludu czeskiego w składkach na teatr granic prawie nie znała.

Nie omieszkają zapewne Czesi upamiętnić dnia tak ważnego. Już teraz istnieje ten zamiar, aby w dzień otwarcia narodowego teatru urządzić w całych Czechach, we wszystkich celniejszych miejscowościach, uroczyste wieczorki, teatru amatorskie i t. p. Korzyść zaś z tych wszystkich wieczorków czyli uroczystości prowincjonalnych, pójsz ma na pomnożenie funduszów „Macierzy szkolskiej“, celem której jest, jak wiadomo, zakładać w okolicach najwięcej germanizowanych *czeskie szkoły*. Każdy na to powie zapewne: „Szczęść Wam Boże“!

Jest już w charakterze naszego czasu, że na wychowanie dzieci obecnie więcej się zwraca uwagi, niżeli dawniej. I w Czechach patrzy się na dźiatwę jako na ziarno, z którego ma wyrósnać przyszłe społeczeństwo. A robi się w tem względzie u nas dużo, tyle, ile pozwalają siły odradzającego się narodu. Świadectwem tego jest czeska literatura dla dzieci, szkółki, ogródki dla dzieci i t. p. Ale starają się też o szlachetną zabawę najmłodszego pokolenia, szczególnie dla tych, którzy nie mieli szczęścia urodzić się w kołysce zamożnych rodziców. W tych właśnie dniach odbywała się na prazkiej wyspie rozkoszna zabawa dla dzieci z wszystkich niższych szkół czeskich. Ileż to szczęścia, ileż to szczerej radości! Troskliwy komitet, urządzający tę wystawę, wystarał się o wszystko, co tylko młody ten światek zabawić może. Była muzyka, były śpiewy, były najrozmaitsze gry, były ognie sztuczne, było sporo magicznych obrazów i innych tego rodzaju widowków wykonanych przez p. Siedleckiego z Królestwa Polskiego — bawiącego chwilowo w Pradze.

Jubileuszowa doba ma i u nas bogate dosyć żniwo i co chwila prawie obchodzimy jakiś jubileusz. Nie wszystkie, co prawda, są na czasie, ale są i takie, które wypadają przypominąć ze szczerym szacunkiem; z tych zaś notujemy jubileusz czeskiej pisarki pani Zofii Podlipskiej, siostry literatki znanej dobrze w Polsce. Obchodziła ona w tych dniach pięćdziesiąty rok życia i dwudziesty piąty rok działalności literackiej. Podlipska wydała mnóstwo powiastek i kilka powieści bardzo też zbagaciła literaturę „dla młodego wieku“; dzienniki i tygodniki czeskie przy tej sposobności oceniły należycie zasługi zacnej i zdolnej kobiety.

W jednym z poprzednich Ech naszych zrobiliśmy zmianę o przeznaczonym do druku słowniku kucharskim czesko-niemieckim. Jeżeli się nie mylimy, to powiedzieliśmy przy tej sposobności też kilka sympatycznych słów o autorze tego słownika, p. Szpatnym. Dziś z żalem wypadła z łaskawymi czytelnikami podzielić się smutną wiadomością, że sympatyczna postać Szpatnego znikła nam już z oczu nazawsze. Umarł on w pierwszych dniach Czerwca. Ś. p. Fr. Szpatny był jednym z najczacniejszych patriotów czeskich, stał prawie przy kołysce naszego odrodzenia i zawsze z poświęceniem pracował dla dobra i rozwoju swego ukochanego kraju. Wydał on prócz mnóstwa innych prac, 20 terminologicznych słowników, za pomocą których przysłużył się do oczyszczenia języka czeskiego w klassach zwłaszcza rzemieślniczych.

Nierzadko mieliśmy sposobność uwydatniać korzystną działalność czeskich stowarzyszeń. Praga ma kilkaset towarzystw, prowincja czeska — kilka tysięcy. Niema w Czechach miasteczka, nawet ani wioski, gdzieby nie było choć jednej besedy, czytelni lub „zpiewackiego spolku“. Celem tych stowarzyszeń jest przeważnie podtrzymywanie i budzenie ducha narodowego i, jeżeli nie wszystkie, to przynajmniej wielka z nich część zadość czyni swemu zadaniu; z tych zaś, które już od lat wielu dobrze działają, nie ostatnie miejsce zajmują prazka „Umielecka Beseda“. towarzystwo literatów, muzyków i artystów czeskich. „Umielecka Beseda“ obchodzi w tym roku pamiątkę 20-letniego istnienia i jeżeli się rozejrzemy w rocznikach tego towarzystwa, z przyjemnością zauważymy, że podczas swej działalności dużo dobrego zrobiła. Mając obfitą liczbę członków, rozporządza ona stosunkowo dosyć znacznym funduszem, pomocą którego przyczynia się i materialnie do rozwoju czeskiej pracy duchowej. Staraniem „Umieleckiej Besedy“ wychodzą corok pyszne re-

produkcy obrazów najlepszych malarzy czeskich, odbywają się regularne odczyty (co tydzień) historyczne koncerty, wieczorki muzykalno-deklamacyjne i t. p. Między członkami honorowymi „Umieleckiej Besedy“ jest kilku znakomitych Polaków i zmiankowane powyżej odczyty odnosiły się nieraz do tematów polskich. Dobrze też „Umielecka Beseda“ zasłużyła się urządzeniem tablic pamiątkowych na domach urodzenia lub śmierci wybitnych patriotów czeskich. Chodząc po Pradze, spotykamy nierzadko takie tablice. Cała zaś działalność stowarzyszenia odznacza się duchem czysto czeskim — swojskim i pozostawi szczególnie w muzyce i sztuce czeskiej rzetelne ślady swego wpływu; bo właśnie „Umielecka Beseda“ po 20 lat była i jest ogniskiem ludzi, którzy tak gorliwie nad sztuką ojczystą pracują. Wypada więc serdecznie pragnąć, ażeby „Umielecka Beseda“ dalej się rozwijała i w nowym dwudziestoleciu istnienia swego nowymi, stosunkowo do dawniejszych nie mniejszymi zasługami pochlubić się mogła; a pragnąć wypada tem bardziej, iż wogóle zauważyć było można, że idea stowarzyszeń w Czechach mija już swój zenit.

W literaturze, pomimo sezonu najmniej jej sprzyjającego, panuje ciągle ruch ożywiony. Prawie codziennie nowe książki czeskie wychodzą z pras drukarskich.

Znany i w Polsce z licznych przekładów poeta Vrchlicky, wydał nowy zbiór poezji pod tytułem: „Sfinx“. I w najnowszym tym zbiorze jest Vrchlicky głębokim filozofem. Jeden z krytyków (naturalnie bardzo licznych) pisze, oceniając „Sfinxa“, że trudno powiedzieć: czy Sfinx *dobry*, czy *wyborny*. Według słów tego krytyka Vrchlicky swoim Sfinxem nowy robi postępek. Jeżeli mały talent robi postępek, jest to rzeczą pocieszającą; jeżeli jednak taki jak Vrchlicky poeta robi „postępek“, ma to już znaczenie dla całej literatury bardzo doniosłe.

Nic dziwnego, że też Vrchlicky ma swoich nieprzyjaciół, którzy niezłomnie oceniają jego działalność. Robią mu szczególnie zarzuty, że jego poezjom braknie odpowiedniego ducha narodowego, gdyż wszelka myśl jego ma charakter światowy, kosmopolityczny. Prawdą jest, że Vrchlicky nigdy nie będzie tak głęboko narodowym poetą, jak np. Mickiewicz; lecz czy można zmuszać poetę do innej indywidualności, jak która ma jest wrodzona? Czeskiej literaturze nie braknie „patriotycznych poezji“ czerpanych ze źródła życia wyłącznie narodowego, lecz jakże małej części z nich można przyznać tytuł „poezji“! Nie wszystko co występuje na tle narodowym jest poezją; czasami bywa to nędzota, prozaiczna naiwność i ta przy niniejszym rozwoju literatury czeskiej, wystarczy już nie może. — Nakładem Fr. Szymaczka zaczęły wychodzić niedawno zmarłego ś. p. A. W. Szmilowskiego *zebrane powieści*, które należą do najpopularniejszej lektury w Czechach. Utwory i prace Szmilowskiego odznaczają się bardzo pięknymi opisami życia czeskiego, są pełne uczucia i głębokości. Powieści jego: *Parnasia*, *Stary Mieczura*, *Varhanik*, są prawdziwymi ozdobami czeskiego piśmienictwa. Ukazał się też w księgarniach wydawany zeszytami zyciorys słynnego publicysty czeskiego *Karola Hawliczka* przez K. Tumy. Hawliczek, pierwszy dziennikarz czeski († 1855) i dzielny obrońca politycznych praw kraju czeskiego, dawno już zasłużył na dokładną biografię, która może być i obrazem czasu tak dla Czechów pamiętnego: działał bowiem Hawliczek w czasach, gdy Czechom być — *było nie tak łatwo!*

W ostatnich czasach ukazało się wiele przekładów z języka polskiego: Asnyk, Kraszewski, Bałucki: to nazwiska, których ciągle spotykamy w czeskich czasopismach. Prócz tych, naturalnie, i innych prac sporo u nas widać. Właśnie opuściła prasę *Nieróżowa Sielanka* pani Orzeszkowej w tłumaczeniu F. A. Hory. Eliszka Krasnohorska, tłumaczka *Pana Tadeusza*, tłumaczy obecnie mniejsze poezje Maryi Konopnickiej i zamieszcza je w *Zbiorniku Słowiańskim*.

Od nowego kwartału przybyło nowe czasopismo poświęcone sprawom czeskich kobiet, pod tytułem: „*Domaci gospodynie*“. Wychodzi ono jako

dwutygodnik w Ołomuńcu pod redakcją pani Prochazkowej.

Edward Jelonek.

## UCZUCIOWI

KOMEDYA W DWÓCH AKTACH

przez

Józefa Blizińskiego.

(Dalszy ciąg).

AKT I, SCENA VIII-ma.

Poprzedzający — Radca. — Karol (wchodzą z prawej strony).

Radca.

Gdyby to była pora owoców, byłbym przekonany, że się pan zakradasz na nie.... Co za myśl, przelażać przez płot—jakgdyby nie było bramy do wjazdu!

Karol (jowialnie).

Widzi pan radca, prosta droga zawsze najlepsza.

Radca (podejrzliwie).

Do czegoż to pan stosujesz?

Karol (j. w.).

Do tego, że więcej warta, niż wszystkie kręte.

Generałowa (cicho do Kamilli).

Któż to jest?

Kamilla.

Nasz sąsiad, dzierżawca pobliskiego folwarku (mówią cicho).

Generałowa.

A! (spogląda na Zosię) Rozumiem (do siebie). Bardzo przystojny chłopiec.

Radca (do Karola).

Ale zkądże tak rano?

Karol.

Z poczty, gdzie odebrałem bardzo ciekawy list z Podlasia.

Radca (podejrzliwie).

Z Podlasia?

Karol.

Z okolicy, którą p. radca niegdyś zamieszkiwał.

Radca (n. s.).

Zkądże on się dowiedział, że ja mieszkałem na Podlasiu (spozstrzega towarzystwo)? A, szanowna p. generałowa dobrodziejka... już przy śniadaniu... (całuje ją w rękę) Jakże się spało?

Generałowa.

Bardzo dobrze. A radca zdrów dziś? (Kamilla wstaje i całuje ojca w rękę).

Radca (podaje rękę Grzmockiemu, siedzącemu przy generałowej).

Jakiś zły duch podszeptał mi tę kuracją: coraz więcej daje mi się weznaki.

Generałowa (śmieje się).

O dyetkę chodzi? (wskazuje mu miejsce przy sobie, gdzie siedziła Kamilla) Siadaj! radcuniu, (Grzmocki wstaje, robiąc mu miejsce).

Radca (sądza go napowrót).

Ale nie rób-że pan sobie subiekcyi! Mam tu miejsce (siada; do generałowej). Gdybyż to tylko chodziło o dyetę! ale przytem trzeba spokoju: a człowiek uczuciowy, jak ja, znajdzie go chyba w grobie.

Generałowa.

Fi? Dajże pan pokój grobom! Mówmy o czym weselszem (rozmawiają pocichu).

Kamilla (zbliża się do Floryana, n. s.).

Panie Floryanie, czy wolno się spytać: co panu jest?

Floryan.

Odjeżdżam dziś i proszę pani o chwilę rozmowy.

Kamilla (wzruszona).

Nie pojmuję.

Floryan.

Teraz nie więcej nie powiem (po pewnej chwili wychodzi niezznacznie naprawo).

Karol (zbliża się do Zosi).

Odebrałem list—mam go tu.. moje przewidywania ziściły się.

Zosia (wzruszona).

Później, na miłość boską. Wuj na nas patrzy.

Radca (wstaje prędko).

Ale ja zapomniałem, że mi nie wolno siedzieć, póki swojego nie odchodzę (n. s.). Szepnęli coś do siebie (głośno). Przepraszam panią.

Generałowa.

Przedstaw-że mi pan tego młodego człowieka; bardzo mi się podobał (wstaje).

Radca.

A i owszem (bierze Karola, prezentuje). Nasz sąsiad—pan Karol.

Generałowa (do Karola).

Pan mieszka podobno bardzo blisko....

Karol.

Tak, pani (rozmawiają cicho, przechadzają się; Kamilla wróciła do stołu, o który się wspiera zamyślona).

Radca (bierze pod rękę Grzmockiego, który znowu zbliżył się do Zosi i zaczął mówić do niej pocichu).

A!, panie Grzmocki dobrodzieju, mam panu do powiedzenia parę słów (odprowadza go).

Grzmocki (n. s.).

Z dwóch stron, widzę, jesteście pilnowani: to skandal, słowo honoru daję (głośno). Jesteśmy na usługi.

Radca.

Zaraz (chodzą w milczeniu).

Grzmocki.

Słucham.

Radca (p. c.).

Wyobraż pan sobie... No! przy tej kuracyi pamięć nawet tracę, wiem, że miałem coś tak ciekawego...

Grzmocki (uwalnia się).

Może przypomnisz pan sobie później.

Radca (przytrzymuje go).

Zaraz, zaraz, ale! (do generałowej i Karola) Wiecie państwo co? Możemy się przeszli po herba-

cie, bo mnie się należy zobowiązku jeszcze pół godziny spaceru.

Generałowa.

I owszem. (do Karola, kładąc mu rękę pod ramię) Pozwolisz pan.

Karol.

A! pani generałowo....

Radca (ogłada się).

A gdzie jest pan Floryan?

Generałowa.

Prawda! gdzieś Florek? wyszedł?

Grzmocki (chce się wydobyć).

Poszukamy go (radca przytrzymuje go).

Generałowa.

O! nie zginie, znajdzie się sam (ze spojrzeniem na Kamillę). Zresztą, nie zabawiły się z nami—pójdziemy (wychodzą naprawo, generałowa z Karolem, radca z Grzmockim).

SCENA IX-ta.

Kamilla, — Zosia.

Zosia.

Co tobie jest?

Kamilla.

Głowa mnie nagle rozbolała.

Zosia.

To taksamo, jak mnie; czyś się przemówiła z Floryanem?

Kamilla.

Ach! moja Zosiu! wystaw sobie, ni ztąd ni zowąd odjeżdża dzisiaj, i prosił mnie o chwilę rozmowy. Nie pojmuję, co to znaczy.

Zosia.

Rzecz szczególna! Przed półgodziną jeszcze w najlepszym humorze rozmawiał zenną.

Kamilla.

Ale ty, co masz na sercu? uważałam, że Karol szepnął ci coś.

Zosia.

A! moja Kamilciu! Nie pytaj mnie lepiej, bo nie wiem sama, cobym ci mogła odpowiedzieć, tak mi się serce ścisza.

Kamilla.

To taksamo, jak mnie: mam okropne przecucia.

Zosia (prędko).

Ah! nie mów tego, cóż tobie mogłoby grozić?

Kamilla.

Wczoraj jeszcze tak sobie słicznie roiłam, tworzyłam projekta... Ślub bierzemy obiedwie razem, przy jednym ołtarzu obie pary, ja z Floryanem, ty z Karolem; obiedwie jesteście tak szczęśliwi! Ojczulek daje ci posag—tyle co i mnie—dzielimy się na pół...

Zosia (rzuca się jej w objęcia).

Ah! moja najdroższa, nie mów tak! nie mów tak!

Kamilla.

A to dlaczego? czyż nie jesteś moją siostrą?

Zosia (całuje ją namiętnie).

A ty moją dobrą, poczciwą siostrą! To prawda; ale! ale! ty nie wiesz...

**Kamilla** (*myśli o swoim*).

I ten teraz odjeżdża, tak nagle, niewiedzieć po co.

**Zosia.**

Ale cóż z tego! Jakaś ty imaginacyjna! Któż wie co mu mógł wypaść za interes.

**Kamilla.**

Ah, nie perswaduj mi. Mimowoli się czegoś lekam. Mówił to takim tonem, on! któremu, jeżeli miałam co do zarzucenia, to zbyt lekki i trzpiotowatość. Coś okropnego! Zkąd ta raptowna zmiana?

**Zosia.**

Uspokój się: dowiesz się za chwilę, skoro chce z tobą mówić.

**Kamilla.**

Ah! prawda! ale nie powiedział: gdzie—najprędzej w salonie. Pójdę tam, może nadejdzie, moja droga; jeżeli go zobaczysz, bo nie uważałam gdzie odszedł, to powiedz mu, że tam będę.

**Zosia.**

Dobrze!

**Kamilla.**

Ah! jak mnie głowa boli (*trzyma rękę na czole, odchodzi do domu*).

SCENA X-ta.

**Zosia.**—Później Janek.

**Zosia** (*sama*).

Dziecko! rozpacza dlatego, że jej Florkowi przyszedł jakiś kaprys do głowy! Czemże to jest w porównaniu z moim położeniem? Ah! okropność! oczu nie śmiałam na nią podnieść, gdy mi otwierała swoje serce: chce się dzielić zemną tem, co ma, pocziwa—a ja! Nigdy jeszcze, jak żyję, podobnego uczucia nie doznawałam: zdawało mi się, że jestem intrygantką, jaką tylko w powieściach można napotkać. Ah! ten Karol, ze swojemi prawdopodobieństwami, szkaradnik! Nie potrzebuję jego opieki! patrzeć na niego nie będę mogła. Chce: niech mnie bierze jak stoję, i owszem, jestem gotowa; ale inaczej... (*do Janka, który wchodzi, szorstkim tonem*;) Weź samowar i dosyp węgla, bo pan jeszcze nie pił herbaty.

**Janek** (*bierze samowar*).

O! jaka ta panienska zła, że pan Karol poszedł sobie z tą panią generałową, zamiast tu zostać (*widząc wchodzącego Karola, do Zosi poufnie*;) Idzie już, idzie...

**Zosia.**

Kto? (*Janek ruchem głowy wskazuje Karola i wzrusza też ramionami*). Mój Janku, miej też olej w głowie. Konfidencya nie w swoim miejscu.

**Janek** (*n. s.*).

Hm, ja nie mam oleju... zapewne! mam, mam i jaki! (*wychodzi nalewo z samowarem*).

SCENA XI-ta.

**Zosia.** — **Karol.**

**Karol** (*wchodzi prędko*).

Ledwo się wyrwał tej generałowej, której względy pozyskałem nie wiem sam jakim sposobem.

**Zosia** (*chodzi z rękami założonemi na piersiach*).

Ten pośpiech był zupełnie zbyt. Czy pan myślisz, że na pana czekała z niecierpliwością?

**Karol.**

Tak mi się zdaje.

**Zosia.**

Otóż mylisz się pan bardzo.

**Karol** (*z uśmiechem*).

Jakto? choćby też zwykła ciekawość kobieca.

**Zosia.**

Nie jestem ciekawą tego, czego nie pragnę usłyszeć.

**Karol** (*j. w.*).

O, przepraszam bardzo: musisz pani usłyszeć. Jesteś pani małoletnią, bo dopiero za pół roku dochodzisz do pełnoletności. Jako przyszedł mąż, jestem naturalnym pani opiekunem, więc...

**Zosia** (*staje przed nim*).

Panie Karolu, kochasz mnie pan?

**Karol** (*j. w.*).

Nad życie! zwłaszcza też teraz.

**Zosia** (*oburzona*).

Jakto, teraz? cóż to ma znaczyć?

**Karol** (*j. w.*).

Jeszcze pani nie widział tak energiczną, a z tem pani tak do twarzy!

**Zosia** (*dawnym tonem*).

Więc kochasz mnie pan?

**Karol.**

Już powiedziałem.

**Zosia.**

Bezinteresownie?

**Karol.**

Czy pani możesz wątpić?

**Zosia.**

I chcesz się pan zemną żenić?

**Karol.**

Jest to najgorętszem mojem pragnieniem.

**Zosia.**

Więc masz pan moją rękę, ale pod warunkiem, że wyrzeczysz się wszystkich intryg, i list, który odebrałeś, zniszczysz.

**Karol** (*wyjmując list*).

Najpierw, toby do niczego nie doprowadziło, bo ten list nie jest żadnym dokumentem, tylko dopiero wskazówką; a powtóre, szkoda-by było...

**Zosia.**

Nie żałuję wcale, daj pan.

**Karol** (*oddaje jej list*).

Tam są szczegóły z pani dzieciństwa i wzmianka o pani rodzicach...

**Zosia** (*wzruszona*).

O moich rodzicach! Mój Boże! ja ich ledwo jak przez sen pamiętam.

**Karol.**

Umarli prawie jednocześnie, zostawiwszy znaczne kapitały. Radca, jako krewny, został opiekunem. Dalej rzecz się gmatwa, trzebaby ją dopiero zbadać... To jedynie jest pewnem, że ten majątek, w którym mieszkacie, mógł kupić tylko za pani pieniądze, gdyż swego nic nie miał.

**Zosia** (*p. c. milczenia*).

Więc cóż z tego, choćby i tak było?

**Karol.**

Jesteś pani pokrzywdzoną.

**Zosia.**

A wychowanie, które mi dał? a miłość ojcowska, które miałam tyle dowodów?

**Karol** (*całuje jej rękę*).

Oh panno Zofio! Czyż nie miałem słuszności, nazywając panią aniołem?

**Zosia** (*żywo*).

Gdybyś pan był słyszał przed chwilą naszą rozmowę z Kamilką! Co to za pocziwe serce! Marzeniem jej było oddać mi połowę swojego majątku, jako posag—i to powiedziała mi w chwili, gdy ja spiskowałam z panem przeciwko jej spokojowi!

**Karol** (*z uśmiechem*).

Pani spiskowałaś!

**Zosia.**

Czy pan nie pojmujesz, jak mnie tem upokorzyła?

**Karol.**

A któż pani zabroni postąpić taksamo ze swojej strony, w razie, jeżeli będziesz miała do tego prawo?

**Zosia.**

Co pan mówisz?

**Karol.**

A naturalnie! Czyż pani sądziłaś, że jestem tak dalece materyalistą, abym tego nie dopuścił? Mnie chodziło i chodzi o to, aby pani przywrócić stanowisko, do którego masz prawo, i dać pole do okazania znanej mi szlachetności serca. Oburzało mnie to, że panią widział w sytuacji podrzędnej, uważaną bądź, co bądź za siostrę przygarbiętą z litości i wychowaną z łaski, gdy przeczuwałem, że tak nie jest.

**Zosia.**

Więc gdyby to wszystko, co pan przypuszczasz, okazało się prawdą, pan nie będziesz miał nic przeciwko temu, abym się podzieliła z Kamilką?

**Karol.**

Bolałoby mnie to, gdybyś pani okazała zbytnią interesowność.

**Zosia** (*uszcześliwiona*).

Oh, panie Karolu, jesteś pan...

**Karol** (*żartobliwie*).

Aniołem?

**Zosia.**

O, nie! daleko panu do tego (*z powagą, podaje mu rękę*); ale jesteś pan człowiekiem, z którego jestem dumna.

**Karol** (*wpatruje się w nią*).

Coraz nowe powaby odkrywam w pani.

**Zosia.**

A ja w panu—mówię bez ceremonii (*z udaną złośliwością*),—wprawdzie nie powaby, ale zalety.

**Karol** (*całuje jej rękę*).

Więc jesteście szczęśliwi.

**Zosia** (*tuli się do niego*).

Oh, zapewne, że szczęśliwi! (*po pewnej chwili*) Hm, ale gdyby nas tak kto zobaczył, ślicznie-by było, (*ogląda się*) Idź pan już ztąd, idź, bo się boję.

## Karol.

Ide do towarzystwa, ale nie odjeżdżam jeszcze (*wraca*). Panno Zofio, jeszcze jedno: o tem wszystkim ani słówka przed nikim, nawet przed panną Kamillą. Niech to zostanie tak aż do pani pełnoletności, a mnie pozwól pani działać, jak uznam za stosowne.

## Zosia.

Ale dobrze, dobrze, już teraz rób pan co chcesz; tylko idź pan sobie, bo może kto nadejść. (*Karol odchodzi naprawo*).

(Dalszy ciąg nastąpi)

## KAWALEK CHLEBA

NOWELLA

przez

Franciszka Coppée

przekład Maryi K.

Młody książę de Hardimont znajdował się w Aix w Sabaudyi, dla kuracyi sławnej swej klaczki *Périchole*, kaszlącej od ostatniej Derby, na których się zaziębiła, i kończył właśnie śniadanie, gdy rzuciwszy wzrokiem niedbale na rozrzucone dzienniki, wyczytał w nich wiadomość o porażce pod Reichshoffen.

Dopił kieliszka wonnego likieru, położył serwetę na stole restauracyjnym, rozkazał służącemu zapakować kufry i w dwie godziny później jechał pociągiem pociągami do Paryża. Stanąwszy na miejscu, udał się bezwzględnie do biura wojennego, by się zapisać w szeregi walczących. Daremnie od dziewiętnastego do dwudziestego roku pędziło się denerwujące życie zdechłaczka—jak wówczas mówiono—daremnie upadła się umysł w stajniach wyścigowych i budoarach operetkowych śpiewaczek: są okoliczności, w których nie można zapomnieć, że Enguerrand de Hardimont zmarł z zarazy w Tunisie, w tym samym dniu, co św. Ludwik, że Jan de Hardimont prowadził hufce pod rozkazami Du Guesclin'a, a Franciszek Henryk de Hardimont zginął pod Fontenoi. Jakkolwiek bądź wiele życia wyssały z Henryka de Hardimont skandaliczne i ogłupiające jego miłości z Lucy Violette, prima-donną teatru *Nudités-Parisiennes*, to jednakże młody książę, dowiedziawszy się, iż Francuzi na ziemi francuskiej bitwę przegrali, uczuł na twarzy palący rumieniec, jakgdyby go znieważono policzkiem.

Dlatego też w pierwszych dniach Listopada 1870 roku, powróciwszy do Paryża z pułkiem należącym do dywizyi Vinoy, Henryk de Hardimont, strzelec trzeciej kompanii drugiego pułku i członek Jockey-klubu stał na warcie ze swą kompanią przed redutą *Hautes-Bruyères*, naprędce ufortyfikowaną, a osłanianą przez armaty fortu *Bicêtre*.

Ponura to była miejscowość: droga zarosła nędzną olszyną, przetrzęta głęboko wyżłobionymi w błocie kolejami, ciągnęła się wzdłuż pól podmiejskich, a przy tej drodze stała opuszczona karczma, otoczona niegdys altanami, zajęta obecnie na stanowisko żołnierzy. Walczono tam przed kilku dniami; kule poprzecinały na dwoje niektóre z przydrożnych drzew, a na ciemnej korze innych widniały blizny od strzałów. Na widok domu dreszcz wstrząsał; dach przedziurawiała bomba, ściany, złane winem, wydawały się jakby krwią zbryzgane. Altany poniszczono, kregle porozrzucono; mokre zaś liny huśtawki, ciągle skrzypiące, jak również podrapane od kul napisy przy drzwiach: *Gabinety, Absynt, Piotunówka, Wino 60 cent. litr*, otaczające zabitego królika, wymalowanego ponad dwoma bilardowymi kijami, złożonemi na krzyż i przewiązanemi wstążką: wszystko to przypominało, z okrutnem szyder-

stwem, ludowe uciechy ubiegłych dni świątecznych. Ponad tem wszystkim wznosiło się sklepienie brzydkiego zimowego nieba, po którym przeciągały ciężkie ołowiane chmury. Wydawały się one tak, jakby wisiały tuż ponad ziemią, a wyglądały przykro—złosiwie.

W drzwiach karczmy stał młody książę z karabinem przewieszonym przez ramię, z czapką nasuniętą na oczy, ukrywający zdrętwiałe od zimna ręce w kieszeniach czerwonych spodni i drżąc w krótkim kożusku. Żołnierz pobitej armii, pograżywszy się w ponurych dumaniach, patrzył z boleścią na szereg wzgórz ginących w mgłę, z kąd co chwila rozlegał się huk strzału i wznosił biały dym, z zięjących paszcz dział Kruppa. Nagle uczuł głód.

Przykłąkł i z tornistra leżącego przy nim pod ścianą wyjął kawał żołnierskiego chleba, a ponieważ zginął mu był nóż, jadł więc książę pan ten chleb żołnierski, odgryzając kawałki zębami.

Zaledwie ukąsił parę razy, miał już dosyć; chleb bowiem był twardy i gorzki. I powiedział, iż nie będzie się miało świeżego, aż dopiero nazajutrz przy rozdawaniu racyi i to jeszcze jeżeli się to podoba intendenturze! Ciężki był niekiedy ten zawód żołnierski; i oto przypomniał sobie teraz jaki to niegdys spożywał higieniczne, jak je nazywał, śniadania, gdy po zbyt sutej kolacyi zasiadał około południa dnia następnego przy parterowym oknie w *Café-Anglais* i kazał sobie podać—ot tak coś lekkiego—kotlecik, jajka sadzone na łebkach szparagowych, a piwnicy, znający jego przyzwyczajenia, odkorkowawszy ostrożnie, stawił na obrusie srebrny koszyczek z leżącą w nim butelką starego wina.—Do stu bomb i kartaczy! Dobrze to były czasy i nie przyzwyczajają się nigdy do tego nędznego chleba.

Zniecierpliwiony, rzucił resztę chleba w błoto.

\* \* \*

W tejsamej chwili z karczmy wychodził szeregowiec z piechoty; pochylił się, podniósł chleb, a oddalwszy się parę kroków, obtarł go rękawem i zaczął chewie zjadać.

Henryk de Hardimont wstydził się już swego postępu i przypatrywał się z litością biedakowi dającemu dowód tak dobrego apetytu. Był to chłopak wysoki, cienki, źle zbudowany, z oczyma gorączkowo błyszczącymi i nieogoloną brodą, a tak wychudły, iż przez wytarty mundur widać było sterzące łopatki.

— Tak ci się jeść chce, kollego?—zapytał Henryk de Hardimont, zbliżając się do żołnierza.

— Jak widzisz,—odparł tenże mając usta zapchane chlebem.

— Przepraszam cię więc. Gdyby był wiedział, że ci się nim mogę przysłużyć nie byłbym go rzucał na ziemię.

— Nic nie szkodzi—odrzekł piechur.—Nie brzdę się weale.

— Bądźco bądź—mówił dalej książę,—złe uczyniłem i wyrzucam to sobie.

Ale nie chcę, abyś miał o mnie złe wyobrażenie i ponieważ mam w manierce stary koniak... więc, do licha! wypijemy razem.

Piechur ukończył swą czynność. Książę i szeregowiec napili się razem z manierki; znajomość była zrobioną.

— Jakże się nazywasz?—zapytał żołnierz z piechoty.

— Hardimont—odrzekł książę, opuszczając umyślnie tytuł... A ty?

— Jan—Wiktor... Właśnie tylko co zapisano mnie do tej kompanii... Wychodzę z ambulansu... Ranny byłem pod *Châtillon*... Ach! jak tam dobrze było w lazarecie! Dawali taki doskonały rosół z końskiego mięsa... Ale cóż! Lekko tylko byłem draśnięty; major wypisał mnie ze szpitala i znów rozpocznie się zdychanie z głodu... Bo, wierz mi jeżeli chcesz, kollego, ale tak, jak teraz patrzysz na mnie, głodny byłem całe życie.

Straszne to było słowo wyrzeczone do rozkosznika, który przed chwilą właśnie myślał z żalem o dobrej kuchni *Café-Anglais*; więc też książę de Hardimont spojrział na towarzysza ze zdziwieniem równającym się niemal przerażeniu. Żołnierz uśmiechnął się boleśnie, ukazując zęby

wilcze, zęby zgłodniałego, odznaczające się dziwną białością przy szaro-zielonej cerze twarzy, jak gdyby rozumiał, iż oczekiwano od niego zwierzeń:

— Słuchaj, kollego — rzekł — przestając nagle mówić „ty“ do towarzysza broni i odgadując w nim zapewne szczęśliwca i bogacza—kollego, przejdźmy się trochę wzdłuż drogi dla rozgrzania nóg, a opowiem ci rzeczy, których zapewne nigdy kollego nie słyszałeś... Nazywam się Jan-Wiktor, Jan-Wiktor tylko, bo jestem znajdą i jedyne, jakie mam, dobre wspomnienie odnosi się do czasów mego pierwszego dzieciństwa spędzonego w domu przytulku. W sypialniach były zawsze białe prześcieradła w naszych łóżeczkach; bawiliśmy się w ogrodzie, w cieniu wielkich drzew, i była tam dobra zakonnica, młoda jeszcze, blada jak woskowa świeca,—zgasła z wolna na chorobę piersiową—a ja byłem jej ulubieńcem, gdyż wolałem przechadzać się z nią, aniżeli biegać z innymi dziećmi, bo ona tuliła mnie do siebie, kładąc na mem czole rękę wychudłą, rozpaloną...

Lecz po skończeniu lat dwunastu i pierwszej spowiedzi już tylko nędzy doświadczałem. Zarząd domu przytulku dla podrzutków oddał mnie na naukę wyplatania krzesel, na przedmieście Ś-go Jakóba.

Wiesz, kollego: czy to się może nazywać rzemiosłem; nie daje ono środków utrzymania, na dowód czego służyć mógł nasz majster, który po większej części zyskiwał uczniów tylko pomiędzy biednymi malcami wychodzącymi z Zakładu Ociemniałych. Tam zacząłem głód cierpieć. Majster i majstrowa—dwoje starych Limuzyjczyków, których później zamordowano—byli to straszni skąpcy i chleb wydzielany nam po małym kawałeczku do obiadu i kolacyi był pilnie zamykany przez resztę dnia. Trzeba było widzieć przy obiedzie majstrową w czarnym czepcu, gdy nam rozdawała jedzenie, wdychając ciężko nad każdą łyżką polewki zaczerpniętej z miski. Dwaj drudzy chłopcy z Zakładu Ociemniałych szczęśliwsi byli ode mnie — to przecież nie dostawali więcej, ale nie widzieli przynajmniej pełnego wyrzutu spojrzenia, z jakim zła kobieta podawała mi miseczkę... A jak na nieszczęście już wtedy miałem doskonały apetyt. Ale czy to moja wina?... I tak wiecznie łaknący przebyłem tam na nauce trzy lata... Trzy lata! Rzemiosło wyplatania umie się doskonale po miesiącu; ale administracja nie może przecież wszystkiego widzieć i nie domyśla się nawet, iż biedne dzieciaki wyzyskują... Ah! zdziwiłeś się, kollego, wiedząc mnie, podnoszącego chleb z błota? Bał przyzwyczaiłem się do tego; dosyć ja nazbierałem skórek chleba ze śmieci, a gdy były zbyt twarde, moczyłem je przez całą noc w miednicy... Zdarzały mi się niekiedy i lepsze zdobycze, skoro mam wszystko mówić: oto ogryzione kawałki chleba wyrzucane na ulicę przez malców wychodzących ze szkoły. Chodząc z posytkami, starałem się zawsze zaważać o którą z takich miejscowości...

Później znów po ukończeniu nauki, to moje rzemiosło, jak wam mówiłem, kollego, nie dawało mi dostatecznych środków do życia. Och! ale ja się nie leniłem w pracy: zajmowałem się i czem innym jeszcze!

Najmowałem się do mularzy; służyłem w sklepie, byłem froterem i sam już nie wiem czem jeszcze! Ale, dziś zbrakło roboty, innym razem straciłem miejsce... Dość, że nigdy nie jadłem dosyta... Do pioruna! wściekłość mnie nieraz ogarniała, gdy przechodziłem koło piekarza! Tylko, na szczęście, przypomniałem sobie zawsze w takich chwilach siostrę miłosierdzia z domu przytulku, która mi tak często zalecała, abym był uczciwym, i zdawało mi się, iż czuję na czole ciepło jej malutkiej rączki... Nakoniec w ośmnaśmym roku życia zaciągnąłem się do wojska... Wiesz, kollego, również dobrze jak ja: żołnierz za ledwo dostateczną ilość pokarmu dostaje... Teraz—doprawdy! śmiać się warto—przychodzi obłędzenie i głód!... Jak widzisz, nie kłamałem przed chwilą, mówiąc, iż zawsze, zawsze byłem zgłodniały!

\* \* \*

Młody książę miał dobre serce i, słuchając tej

strasznej skargi wypowiedzianej przez takiego jak on sam człowieka, a który przez mundur stał się jego równym, uczył się głęboko wzruszonym. Zdarzyło się też nawet bardzo szczęśliwie dla jego wytwornej obojętności właściwej złotemu młodzieńcowi, że wiatr wieczórny osuszył niepostrzeżenie dwie lzy zasłaniające mu źrenice.

— Janie-Wiktorze — rzekł — przestając także przez poczucie delikatności mówić „ty“ do podrzutka — jeżeli przeżyjemy obydwaj tę straszną wojnę, zobaczymy się jeszcze i spodziewam się być ci użytecznym. A tymczasem, ponieważ niema innego piekarza na forpocztach armii, jak tylko zwyczajny kapral indentury, a wydzielana mi porcja chleba jest zbyt wielką na mój nędzny apetyt — więc — rzecz ułożona — nieprawdaż? — będziemy się dzielić jako dobrzy towarzysze.

Uścisk dłoni, jaki zamienili dwaj mężczyźni, był długi i serdeczny, a że noc już zapadła i czuli się zmęczonymi przez długie poprzednie czuwania, i ciągle alarmowanie armii: powrócili więc do izby karczemnej, gdzie już leżało na słomie kilkunastu żołnierzy i, rzuciwszy się obok siebie, zasnęli obydwaj głęboko.

Około północy Jan-Wiktor, głodny zapewne, obudził się. Wiatr rozwiał chmury i jasny promień księżycy, zagładając do karczmy przez dziurę w dachu oświecał jasną i śliczną głowę młodego księcia, śpiącego jak Endymion. Jan-Wiktor, wzruszony jeszcze dobrocią towarzysza, przypatrywał mu się z naiwnem uwielbieniem, gdy sierżant, otworzywszy drzwi, wymienił głośno nazwiska pięciu mających się udać na zmianę odległej placówki. W tej liczbie znajdował się również i książę, lecz przy wymianie swego nazwiska nie zbudził się wcale.

Hardimont, wstawaj! — powtórzył podofficer.

— Jeżeli pozwolicie, sierżancie — rzekł Jan-Wiktor, podnosząc się, ja go zastąpię... spi tak smacznie... a to mój przyjaciół.

— Jak chcesz!...

I po odejściu pięciu ludzi rozlegało się dalej głośne chrapanie.

Lecz po upływie pół godziny dał się słyszeć wśród nocnej ciszy w niedalekiej odległości huk szybo następujących po sobie strzałów.

W jednej chwili wszyscy stanęli na nogach; żołnierze wyszli z karczmy, posuwając się ostrożnie z karabinami w rękach i rozglądając się po drodze oświeconej białym światłem księżycy.

— Która to może być godzina? — zapytał książę. — Tej nocy wypadła na mnie kolej stać na warcie.

Ktoś zpośród żołnierzy odpowiedział:

— Jan-Wiktor cię zastąpił.

W tejsamej chwili spostrzeżono na drodze szybko biegnącego żołnierza.

— I cóż? — zapytał, gdy się zatrzymał zziębnięty.

— Prusacy nacierają... cofajmy się ku reducie.

— A towarzysze?

— Idą... Tylko ten biedny Jan-Wiktor...

— Jakto? — zawołał książę.

— Padł na miejscu, ugodzony kulą w głowę... Nie jęknął nawet.

\* \* \*

Pewnej nocy wśród ubiegłej zimy, około drugiej godziny nad ranem, wychodził z klubu książę de Hardimont wraz ze swym sąsiadem hrabią de Saulnes; książę przegrał paręset dukatów i czuł lekką migrenę.

— Jeżeli chcesz, Andrzeju — rzekł do towarzysza, powrócimy pieszo do domu.

Potrzebuję zaczerpnąć świeżego powietrza.

— Jak chcesz, mój drogi, chociaż huk tutaj niegodziwy.

Odesłali więc powozy, i podniosłszy futrzane kołnierze zwrócili się ku Bulwarom Magdaleny. Nagle potoczył się po kamieniach przedmiot jakiś

potrącony nogą Henryka de Hardimont: był to spory kawał chleba powalany błotem.

Książę de Hardimont, ku wielkiemu zdumieniu hrabiego de Saulnes, podniósł potrącony kawałek chleba, obtarł go starannie chustką batystową, z wyhaftowanym w rogu herbem, i położył na ławce w miejscu oświeconem przez latarnię.

— Co robisz? — zapytał hrabia, wybuchając śmiechem. Czyś oszalał?

— Czynie to na pamiątkę człowieka, który za mnie zginął — odparł książę, a głos jego drżał lekko. — Proszę cię, nie śmieć się, mój drogi, bo mi tem sprawisz wielką przykrość.

## Z APENINÓW

(Dokończenie).

Zostawiając na boku kwestyą idealnego ukochania domowych ognisk, mimowoli zapytać się trzeba: czy góral apeniński zyskałby wiele, a nawet czy zyskałby cokolwiek, spuszczać się z wyżyn swoich? Wiemy, jak żyje wszędzie lud ubogi, po tych miastach zwłaszcza, do których cisnąć się potrzeba — wyrobnik fabryczny, którego położenie moralne i materyalne tak znane jest wszystkim, że rozbierać go nie potrzeba. Wprawdzie góry wyżywić nie mogą wszystkiej tej wiernej dziatwy swojej, która rodzi się i rośnie na skalistym ich gruncie, ale są one dla niej zawsze tym domem rodzinnym, z którego wydała się ona tylko chwilowo, lecz który jest zawsze poza biednymi wędrowcami, przedmiot miłości ich i tęsknoty, miejsce choćby tylko na ostatnie skłonięcie głowy i taki grób obok grobu ojcowskiego, jaki znalazł ów Antonio, dążący zpoza Atlantyku, aby umrzeć na grzędzie rodzinnej. Góry dają młodości górala, nietylko siłę i czerstwość zdrową, ale i uczucie swobody, poezją piękną, którem otaczają go od dziecka, poezją religii, która jest mu obroną i pomocą w różnych trudnych życia godzinach: wszystko to, czego jest pozbawionem ubogie dziecko ludu, a z czego przecież tworzą się najcenniejsze skarby człowieka.

Niemniej gdy kasztany zostaną zebrane i wysuszone, wino wyciśnięte i pozlewane, gdy wszystka młódź krzepka, śmiała i rosła spuści się na pastwiska dolne, lub pójdzie w świat za robotą, gdy tylko kobiety, dzieci i starzy zostaną w wioskach nagle osamotnionych, — życie zaczyna tu być niewypowiedzianie smutnem, cichem i jednodajnym. Każde serce tęskni i jest niespokojnem, poczynając od dzieci, która wygląda ojca, do starej matki, lękającej się umrzeć, zanim syn powróci do domu. Kobiety znają tylko najbliższe wsie lub miasteczka podgórza, i świat, w który poszli bracia, mężowie lub ukochani, jest dla nich nieznanym, tajemniczym i przestraszającym je światem, który maluje się w ich wyobraźni przez pryzmat słyszanych o nim legend i opowieści, fantastycznie oddawanych przez górali, którzy wracają, lub starców wspominających przeszłość i jej koleje. Dodajmy do tego siłę południowej wyobraźni, południowej namiętności, a tu śnieg zaczyna najpierw bielić szczyty najwyższe, potem zwolna, zwolna, zstępuje coraz niżej, cicho, nieznacznie ogarnia przestrzenie coraz szersze, coraz bliższe: aż w końcu wioska na skale znajduje się jednego poranku pokryta białym jego całunem, często prawie zasypana, a w każdym razie odcięta już od reszty świata, zamknięta sama w sobie. Zawieszona na wyżynach nieprzystępnych już teraz dla nikogo, wśród nadpowietrznej samotności, patrzy w dół, gdzie najmniej

o jakie tysiąc stóp poniżej znajdują się dopiero ludzie, słucha jedynie szumu bezlistnych lasów i przenikliwego świstu tramontany, która gwizdzie między wąwozami, lub wyżej jeszcze hula wśród hał i turni samotnych. Wodę otrzymuje się tu wtedy, topiąc śnieg; ale po drzewo na opał, to jest po gałęzie, których, dzięki tramontanie, nie brak przynajmniej, trzeba iść zaśnieżonemi ścieżkami do lasu i wracać z ciężkiem brzemieniem na plecach, bo mroz przy nieodpowiednim urządzeniu mieszkań kamiennych, zmusza do utrzymywania ognia przez noc całą.

Ale, na szczęście, zima, choć ostra, nie bywa tu długą i gdy Boże Narodzenie raz minie, już czuje się wiosnę niedaleką, a jaką wiosnę!... Skoro tylko śniegi stopnieją, kwiaty zaczynają wychylać się zpod ziemi, lasy zielenią się, posiewy rosną w oczach gęstą, bujną runią, i wśród wioski rozpoczyna się znowu żywy ruch życia, a nadzieja wstępuje w serca, bo najpierw pasterze z pastwisk dolnych, z Marem, wracają na swoje hale, teraz całe w kwiatach, jak ogród Flory, potem — gdy czas żniwa nadejdzie, reszta wygnańców powróci, zjawi się nagle z muzyką, ze śpiewem i groszem zarobionym, z podarkiem gościńca piękniejszym, niż na odpuszcie kupić można, a głównie z darem najwyższym szczęścia, które daje obecność osoby ukochanej. Trzeba widzieć tę chwilę powrotu tak, jak ja widziałem ją raz w La Rocca, aby mieć pojęcie o tej radości, która ogarnia prawie szaleem wieś całą, od dzieci do starców. Co to za głosy, co za przyzywania się wzajemne, wyciągania rąk miłosne i uściski — uściski bez końca!

Czasem przecież zabrzmi tu nagle okrutny krzyk bóleści, lub głuchy jęk rozpaczy: kogoś brak, ktoś nie wrócił — umarł, albo go świat pociągnął i nie ma go tu teraz między witanymi.

Lecz piękność, nie oddana przez słowa żadne, jest tu zawsze, wiosną, czy latem, zimą czy jesienią, zmieniającą się wedle pory roku, lecz nieznikającą nigdy i na przyzwyczajonych do niej czyni wrażenie ogromne. Nie zapomnę chyba nigdy widoku, z jakim w roku zeszyłem spotkały się oczy moje, gdy w Październiku wraz z gromadą górali porzucił wioskę La Rocca. Uszedłszy częścią drogi ku dolinie Lazza, przystanąłem i obejrzałem się za siebie, lecz nie ujrzałem już tam nic, nic, gór nawet, bo gęsta, bałwaniąca się mgła, zasłoniła wszystko i nawet szczyt żaden, żaden kształt nie rysował się poza nią. Ale niebo było pogodne i gdy nagle wiatr wionął górą, spędzając tuman mroczny, zasłona się rozdarła i ujrzałem nagle, na tle najczystszej błękitu, niby jakiś gród czarodziejski, cały różowy od blasków wschodzącego w tej chwili słońca, cały skąpany jego światłem czarownem. Nigdy Fata Morgana nie stworzyła na pustyniach Sahary cudownie fantastycznego widoku. Widziałem, że to jest ubogie, z głazów surowego kamienia wzniesione, przez kilkuset prostych górali zamieszkałe sioło, przecież chciałem się prawie pytać: jaka to jest stolica zaklętego króla, zaklętego narodu? W parę minut mgła zaciągnęła, wioska, z cudownem przemienieniem swoim, zniknęła mi z oczu; ale cud widzianej piękności pozostał w pamięci... Tak się dzieje z ludem góralskim tych stron: widzą miejsca rodzinne w przeobrażeniu idealnem i wiecznie kochają, wiecznie tęsknią do nich.

P. Z.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się dokończenie powieści pod tyt.: **Aż do śmierci**; oraz początek powieści pod tyt.: **Orli lot**.

**TREŚĆ.** Sara Robinson, Agnieszka Weston, przez M. Ilnicką. — Strofa prozą, (dalszy ciąg), przez W. Z. Kościółkowską. — Echa z Czech, przez Edwarda Jelinka. — Uczuciowi, komedia, (dalszy ciąg), przez Józefa Blizińskiego. — Kawałek chleba, przez Franciszka Coopée. — Z Apeninów, (dokończenie), przez P. Z.